

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]

## ROZDZIAŁ I

**2-19 kwietnia 2005 r.**

Dziś, w sobotę 2 kwietnia, o godz. 9:37 czasu lokalnego, w swojej rezydencji w Watykanie, zmarł Karol Wojtyła, od 16 października 1978 r. znany światu jako papież Jan Paweł II. Zmarł w wieku 84 lat (do 85 rocznicy urodzin brakło Mu czterdzieści sześć dni). Początkowo podano, że był on 263. papieżem, ale potem skorygowano to, że jednak 264. Dokładna ilość papieży nie jest znana, ale uważa się, że św. Piotr, pierwszy biskup Rzymu, rozpoczął tradycję tego urzędu, sam go piastując w latach 64-67, choć na ten temat nic pewnego nie wiadomo. Licząc z tzw. antypapieżami, jak również z tymi, którzy z tych czy innych względów swojego urzędu nie objęli, było ich dotąd ponad 300, w tym dwie kobiety, które ukryły swoją płęć, ale zostały zdemaskowane i okrutnie zamordowane.

Co się tyczy Jana Pawła II, to w historii papieństwa sprawował On, po Piusie IX, który sprawował go przez 32 lata (1846-1878), drugi najdłuższy ponad 26-letni pontyfikat. Jan Paweł II był też pierwszym Polakiem na tym urzędzie. Z różnych względów, co najważniejsze, był On niewątpliwie *najbardziej* znaną i popularną w świecie osobistością ostatnich lat.

Jana Pawła II miałem zaszczyt dwukrotnie spotkać w swoim życiu, w dniach 23-24 lutego 1981 r., kiedy byłem ambasadorem PRL w Tokio, a On odbywał swoją japońską pielgrzymkę. Pierwszy raz spotkałem Go przed katolickim kościołem w Tokio, przybywając tam pędem z uroczystości składania listów uwierzytelniających cesarzowi Hirohito w jego pałacu. Nie zdążyłem się nawet przebrać i tylko na swój „morning coat” narzuciłem płaszcz, cylinder zaś zostawiłem w samochodzie. Niunia, która też była w pałacu, ale jako kobieta przed cesarskie oblicze nie mogła być dopuszczona, też towarzyszyła mi w zaimprovizowanym spotkaniu z papieżem, z którego mam kilka pamiątkowych zdjęć. Gdy podjechałem przed kościół z łopocącą na masce mercedesa chorągiewką biało-czerwoną, to jeden z polskich zakonników, od lat misjonarz w Japonii, krzycząc na cały głos „Pan Ambasador przyjechał!” przebił się ze mną i Niunią przez tłum i za chwilę już witałem się serdecznie z Janem Pawłem II. W rękę Go nie

całowałem, ale tym niemniej papież uchwycił moją dłoń oburącz i bardzo długo nie wypuszczał jej z obu swoich rąk. Odniosłem wtedy dziwne wrażenie, że jakby szukał wsparcia w bratniej duszy... Czyżby obawiał się czegoś? - przemknęło mi przez myśl. Chodziły przecież plotki, że Jego poprzednik, Jan Paweł I, po 33 dniach pontyfikatu, w dość podejrzanych okolicznościach zakończył swój żywot. Stąd też, kiedy po sześciu tygodniach japońska agencja Kyodo obudziła mnie tuż po północy w mojej rezydencji z wiadomością o zamachu na papieża w Rzymie, to pomyślałem, że przecież On czegoś takiego chyba spodziewał się!

Po raz drugi, akurat w rocznicę moich 51. urodzin, Jana Pawła II, w towarzystwie Niuni, spotkałem na przyjęciu dla korpusu dyplomatycznego w Nuncjaturze Apostolskiej.

O tym kim był Jan Paweł II, zwłaszcza dla Polaków, nie ma co się rozpisywać, gdyż są to rzeczy powszechnie znane. Był On przede wszystkim “pielgrzymującym papieżem”, odwiedzając 130 krajów podczas 102 pielgrzymek. Prawda, w dobie odrzutowców, jak też w czasie ponad 26-letniego pontyfikatu było to możliwe, ale tym niemniej faktem jest, że Jan Paweł II był rekordzistą pod tym względem.

Jaki był efekt tego pielgrzymowania ocenią dopiero historycy papieżstwa, ale wydaje się, że w sumie był on niewielki. Za pontyfikatu Jana Pawła II ilość katolików w świecie zwiększyła się co prawda o ponad 200 milionów, ale głównie dzięki przyrostowi naturalnemu na Filipinach, a nade wszystko w Ameryce Południowej, która w międzyczasie odebrała Europie palmę pierwszeństwa jako twierdza katolicyzmu w świecie. Również nawracanie się na katolicyzm w czarnej Afryce, głównie w Nigerii, przyczyniło się do wzrostu jego wyznawców. W sumie jednak, sytuacja Kościoła Rzymsko-Katolickiego w świecie jest ogólnie nie zadawalająca. W dniu zakończenia II wojny światowej co piąty mieszkaniec Ziemi był katolikiem. Dziś jest już nawet nie co szósty, a ilość katolików przyrasta o wiele wolniej od przyrostu ludności świata. Co gorsza, protestanci, głównie w Stanach Zjednoczonych i w Ameryce Południowej, “podkradają” katolików, przeciągając ich na różne sposoby na swoją odmianę wiary chrześcijańskiej.

Problemem jednak najpoważniejszym dla katolicyzmu, podobnie zresztą jak wszystkich innych wyznań chrześcijańskich, jest w Europie, Zachodniej zwłaszcza, rosnąca ilość ateistów, a jeszcze bardziej „apateistów”, czyli ludzi religijnie obojętnych. Rezultatem tego są puste kościoły,

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział I (kwiecień 2005 r.)

nawet w tak formalnie katolickim kraju jak Włochy, co w marcu/kwietniu ub. roku mogliśmy z Niunią widzieć w czasie naszej wycieczki na Sycylię. Zresztą, nie jest to zjawisko nowe, gdyż i przed laty było podobnie. W Polsce nie jest jeszcze tak źle, ale i tam aż *połowa* ludzi nie chodzi regularnie do kościoła.

W USA, gdzie protestantyzm jest rozbity na szereg wyznań i „podwyznań”, katolicyzm jest głównym *zorganizowanym* wyznaniem stanowiącym ok. jednej czwartej wierzących. Przeżywa on jednak kryzys i gdyby nie napływ Latynosów i Filipińczyków, to kryzys ten byłby o wiele głębszy. Aż 3200. parafii katolickich w USA nie ma stałego księdza, a ponadto ilość księży nieustannie spada. Na domiar złego, wokół duchownych katolickich w USA rozpętała się „pedofilska burza”, co nie tylko poważnie poderwało Kościół od strony finansowej, ale także od strony jego moralnego autorytetu, którym dotąd zasłużył się szczerze.

Czy Jan Paweł II mógł odwrócić „dechrystianizacyjny trend” w świecie, a w katolickich krajach w pierwszym rzędzie? Co do tego, że chciał ten trend odwrócić nie ma *najmniejszych* wątpliwości. Ale czy mógł? Droga, jaką obrał dla osiągnięcia tego celu, w stosunku do obranej przez Jego poprzedników, Pawła VI i Jana XXIII, uznawanych za „liberalnych papieży”, była „drogą konserwatywną”. Zlikwidował „teologię wyzwolenia”, popularną w Ameryce Południowej, aborcję traktował jako ludobójstwo i był przeciwny jakimkolwiek formom planowania rodziny, z kategorycznym odrzuceniem środków antykoncepcyjnych (w związku z tym dziś przypisuje Mu się przyczynienie się do nasilenia się AIDS w Afryce). Wzmógł też niebywale kanonizacje, powiększając grono świętych aż o 483, co było *rekordem* w historii papieżstwa (1300 kandydatów na świętych czeka w kolejce), co tu i ówdzie spotkało się z ironicznymi komentarzami o „jedynym przemyśle w Watykanie, produkującym tylko świętych”. A ponieważ do kanonizacji potrzebny jest dowód „cudu”, więc czasem dochodziło do kłopotliwych sytuacji. Matce Teresie na przykład, kandydatce na świętą, przypisano „cudowne” wyleczenie dziewczynki chorej na raka, a do tego sukcesu przyznawała się też hinduska klinika!

Jan Paweł II natomiast, mimo że fakt ten jakoś nie został odpowiednio nagłośniony, zasłużył się wielce jako *niestrudzony* bojownik o pokój. Pokojowej Nagrody Nobla nigdy jednak nie dostał, ale w zamian dostawali ją tacy podżegacze wojenni jak Henry Kissinger! Był On

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział I (kwiecień 2005 r.)

zdecydowanym przeciwnikiem dwóch wojen z Irakiem oraz interwencji NATO w Bośni i Jugosławii. W tym ostatnim przypadku apelował nawet do NATO, żeby jego lotnictwo przerwało bombardowania Jugosławii w Wielkanocną Niedzielę w 1999 r. Daremnie. Bombardowań nie przerwano.

Odnosnie innych i godnych uwagi osiągnięć i porażek Jana Pawła II, to jeszcze długo będą trwać spory na ten temat.

Przede wszystkim, przesadzone jest przypisywanie Janowi Pawłowi II wiodącej roli, której On sam zresztą sobie nie przypisywał, w powstaniu „Solidarności”. Podobnie jak przesadzone jest przypisywanie Mu głównej roli w obaleniu komunizmu. On sam twierdził, że „komunizm upadł pod swoim własnym ciężarem” (jeśli tylko rzeczywiście upadł, gdyż w Chinach, Wietnamie i na Kubie ma się on całkiem dobrze).

Mniej natomiast wiadomo o tym, że Jan Paweł II był wcale nie mniej zde gustowany współczesnym kapitalizmem niż był komunizmem.

Swój największy triumf, niewątpliwie, Jan Paweł II osiągnął wybiciem się na czoło *wszystkich* światowych autorytetów w ostatnim ćwierćwieczu. Był też na scenie dziejowej o wiele dłużej od wszystkich innych przywódców liczących się krajów. Za Jego pontyfikatu w Białym Domu rozgościł się piąty już amerykański prezydent, na Kremlu szósty przywódca ZSRR/Rosji, a w Niemczech, które w międzyczasie zjednoczyły się, wybrano trzeciego z kolei kanclerza. Nawet w Polsce niewiele brakowało, żeby doczekał się piątego jej przywódcy.

Co najważniejsze, Jan Paweł II przejdzie z pewnością do historii jako ten, który jak *nikt* inny dotąd, potrafił wywoływać szczery podziw dla swojej osoby i to w sposób absolutnie nie reżyserowany! Jego po prostu uwielbiano, nawet wśród niewierzących i innowierców! Szczególnie uwielbiany był przez młodzież, rzecz raczej niesłychana w dobie popkultury. Owiany sławą, mniejsza o to na ile zasłużoną, poliglota, świetny aktorsko, atut o ogromnym znaczeniu w dobie telewizji, o silnym, a jednocześnie ciepłym głosie, czasem podśpiewujący i z poczuciem humoru.

Jan Paweł II *nie miał* równych sobie konkurentów w popularności wśród współczesnych Mu mężów stanu. Tłumy, do których przemawiał, uwielbiały Go, a jak raz słyszałem z ust

młodej Francuzki, uczestniczki spotkania z Nim, „*my Go po prostu kochamy*”!

Otóż właśnie, w dobie zarówno uwielbienia jak i potępienia w odniesieniu do przywódców w świecie, Jan Paweł II doświadczał na każdym kroku tylko tego pierwszego, a *nigdy* tego drugiego!

Paradoksalnie, dzięki Niemu, niedemokratyczna instytucja papieżstwa, wywodząca się ze starożytności i jedyna tego rodzaju w świecie, zdobyła palmę pierwszeństwa wśród wszystkich innych, a Jan Paweł II stał się niepisany *przywódcą* moralnym ludzkości.

O ile jednak osiągnięcia Jana Pawła II w wielu dziedzinach Jego działalności są niezaprzeczalne, to nie uchronił się On, niestety, także i od porażek. Pomimo olbrzymich wysiłków na odcinku ekumenicznym, nie udało Mu się dokonać tutaj jakiegoś przełomu. Z kościołem anglikańskim, najbliższym katolicyzmowi, dość obiecujące początkowo zbliżenie, uległo potem zahamowaniu, a nawet cofnięciu się. Z rosyjską cerkwią prawosławną, Jan Paweł II nie był w stanie nawiązać jakiegokolwiek dialogu, ani nawet odwiedzić Rosji, ze względu na kategoryczny sprzeciw cerkwi. W rezultacie tego *nic* nie wyszło z szeregu papieskich inicjatyw, żeby niekatolickie wyznania chrześcijańskie zbliżyły się do ponad miliardowego Kościoła Rzymsko-Katolickiego. Razem przecież stanowiłyby ogromną, ponad dwu-miliardową siłę, obejmującą niemal jedną trzecią ludzkości!

Nie tylko *nic* z tego nie wyszło, ale jeszcze wśród samych katolików zaczęły się podziały z powodu konserwatyizmu Jana Pawła II. Nie rozstrzygając, która ze stron miała tutaj rację, rosnące napięcie pomiędzy różnymi orientacjami katolicyzmu nie wróżą *nic* dobrego.

Nie sposób też pominąć innego niebezpieczeństwa, o którym już częściowo wspominałem w poprzednim tekście i które zagraża wszystkim religiom, a mianowicie postępu naukowo-technicznego, przed którym są one bezsilne. Jan Paweł II, pomny błędów swoich poprzedników, walczących z tym postępowaniem, wykazywał niezwykle powściągliwe i tolerancyjne stanowisko w tym zakresie. Tym niemniej szukał dróg *jak* obronić wiarę przed rozumem. Szczególnie - jak to raz zasłyszałem przed laty z Jego ust - niepokoiła Go szerząca się ostatnio gnoza, próba *łączenia* wiary z rozumem. Gdyby w ostatnich latach swojego życia nie miał kłopotów ze zdrowiem, to może zajęłby w tej sprawie bardziej rozwinięte stanowisko, które

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział I (kwiecień 2005 r.)

mogłoby stanowić znaczący wkład do nauk filozoficznych. Może też rozwinąłby częściowo już znane swoje poglądy na temat „Trzeciej Drogi”, pośredniej pomiędzy kapitalizmem a socjalizmem.

Zaawansowany jednak wiek oraz liczne choroby, stanęły temu na przeszkodzie, a szkoda, gdyż Jan Paweł II miał umysł nieprzeciętny, a Jego bogate doświadczenie życiowe i znajomość różnych systemów byłyby zapewne przydatne do wzbogacenia wiedzy ludzkiej.

Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych. Osobiście jednak myślę, że Jana Pawła II *nikt* nie zastąpi w Stolicy Piotrowej, a w każdym razie, długo tak nie stanie się.

I jeszcze jedna końcowa refleksja. Pogarszający się od lat stan zdrowia Jana Pawła II, jakżeż kontrastujący z latami Jego triumfalnego marszu po całym niemal globie ziemskim ani na trochę nie podkopał zdobytego już wcześniej autorytetu i uwielbienia wiernych. Ale był też przeszkodą nie do pokonania i Jan Paweł II zapewne o tym dobrze wiedział. Nie poddawał się jednak i walczył do końca, przez co zdobył sobie tylko jeszcze *więcej* uwielbienia i sympatii. Ludzie bowiem *nie lubią* tchórzy i kapitulantów.

Lubią bojowników, a takim był Jan Paweł II.

Czy wszystko to ułatwi czy utrudni posłannictwo następcy Jana Pawła II - pokaże dopiero przyszłość.

**8 kwietnia 2005 r.**

W piątek, 8 kwietnia, w godzinach przedpołudniowych, Jan Paweł II został pochowany w podziemiach Bazyliki św. Piotra. Przedtem, od 3 kwietnia poczynając, wystawione na widok publiczny w Bazylice ciało Jana Pawła II, dzień i noc ściągало niezliczone rzesze wiernych, w tym bardzo licznych z Polski, dla oddania Mu ostatniego hołdu. Przybyli nawet, rzecz dotąd niepraktykowana, obecni i byli prezydenci USA George W. Bush z żoną oraz jego ojciec, George H. W. Bush, jak też Bill Clinton. Miał jeszcze być Jimmy Carter, ale w Białym Domu doszło do jakichś dziwnych „przepychanek” i nic z tego nie wyszło.

Nie było natomiast *nikogo* z oficjalnych osobistości III RP, aż do dnia pogrzebu, co było raczej dziwne, podobnie jak dziwne było zachowanie się prymasa Józefa Glempa, który jakoby nie mógł wydostać się z Argentyny na wieść o śmierci Jana Pawła II. Potem, kiedy już powrócił

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział I (kwiecień 2005 r.)

do Warszawy, nie błysnął ani intelektem ani nawet dobrym wychowaniem w czasie uroczystości żałobnych w kraju. Dość dziwne było też zachowanie Radia Maryja, które swoje istnienie w olbrzymiej mierze zawdzięczało Watykanowi.

Uroczystości pogrzebowe ściągnęły również niezliczone tłumy wiernych, a nawet innowierców i nie wierzących, tak jak w dniach poprzedzających pogrzeb. A byłyby jeszcze liczniejsze, gdyby władze włoskie nie wprowadziły ograniczeń wjazdowych do Rzymu, który został dosłownie zalany ponad 3-milionową masą przybyszów z całego świata.

Na uroczystości pogrzebowe przybyło też ponad 200 delegacji oficjalnych z niemal całego świata, poza komunistycznymi Chinami (z Tajwanu była delegacja), Koreą Północną i chyba jeszcze kimś, o czym w tej chwili jeszcze nie ma pełnych informacji. Nie przyjechał też rosyjski prezydent Władimir Putin, posyłając w zamian premiera. Z Polski przybyła 6-osobowa delegacja oficjalna, na czele z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim i b. prezydentem Lechem Wałęsą w towarzystwie małżonek.

Uroczystościom pogrzebowym, jak zresztą wszystkim innym czynnościom Stolicy Apostolskiej, przewodził kardynał Joseph Ratzinger, Bawarczyk i od lat najbliższy w Kurii współpracownik Jana Pawła II, z którego inicjatywy przewodzi od 1981 r. Kongregacji Doktryny Wiary, instytucji pod wieloma względami przypominającej Świętą Inkwizycję, aczkolwiek nie ferującej, jak to było dawniej, wyroków śmierci za herezje i odszczepieństwo.

Oglądając sceny uroczystości pogrzebowych, z jednej strony widowiska *jedyne* w swoim rodzaju we współczesnym świecie, nie mogłem się opędzić od licznych i smutnych refleksji. Oto bowiem Człowiek, który latami przykuwał uwagę świata i był niewątpliwie jego postacią Nr 1, teraz złożony w drewnianej i skromnie wyglądającej trumnie, odchodzi na zawsze... Kardynał Ratzinger powiedział, co prawda, że Jan Paweł II „*patrzy teraz na nas z okna Domu Pana Boga*”, ale choć piękne to słowa, to jakoś tak nie pasujące do realiów współczesności...

Gdzież bowiem jest ten dom i te okna? W naszym Układzie Słonecznym, w naszej galaktyce Mlecznej Drodze czy gdzieś jeszcze dalej?

Ale cóż innego Kardynał miał powiedzieć? Że oto był Jan Paweł II i że teraz już Go nie

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział I (kwiecień 2005 r.)

ma, że za chwilę będzie złożony w grobie i tylko pamięć po Nim pozostanie? Gdyby tak powiedział, to komu byłoby potrzebne istnienie wiary, Kościoła, papieży, Bazyliki i Placu św. Piotra?

Niech już więc będzie tak, jak jest. Ludzkości może jest nawet potrzebne mówienie o czymś, co *nie istnieje* w rzeczywistości.

**19 kwietnia 2005 r.**

Dziś, we wtorek, tuż przed godz. 18:00 czasu lokalnego, z zainstalowanego specjalnie do tego celu metalowego kominka na dachu Katedry Sykstyńskiej, wydobył się biały dym, oznaczający wybór nowego papieża przez 115 kardynałów na 117, jako że dwóch, wchodzących w skład konklawe, instytucji istniejącej od 1274 r., było nieobecnych. Wkrótce potem rozzwoniły się dzwony, a po kilkunastu minutach z balkonu siedziby papieskiej, chilijski kardynał Jorge Estevez, obwieścił po łacinie światu i zebranym tłumom na Placu św. Piotra „*Habemus papam!*” wymieniając następnie nazwisko, wspomnianego już powyżej niemieckiego kardynała Józefa Ratzingera. Nowy papież przybrał imię Benedykta XVI.

Konklawe, zwołane zgodnie z obowiązującymi regułami nie wcześniej niż w szesnastym dniu od zgonu papieża, zaczęło wybory dzień wcześniej, w poniedziałek po południu, ale dopiero w dniu następnym, za czwartym razem od rozpoczętego wczoraj głosowania, dokonało wyboru następcy Jana Pawła II (Jego wyboru w październiku 1978 r. dokonano za ósmym razem).

W chwilę potem na balkonie, już w papieskim stroju, ukazał się Józef Ratzinger, postać w ostatnich dniach najbardziej widoczna ze względu na pełnione funkcje kierownicze w uroczystościach pogrzebowych po zgonie Jana Pawła II.

W ten sposób położono kres różnym spekulacjom, które, nie wiadomo dlaczego, na następcę Jana Pawła II mianowały wielu innych kardynałów, choć dla niektórych obserwatorów wybór Ratzingera na nowego papieża był od początku oczywisty.

Benedykt XVI, który trzy dni wcześniej ukończył 78 lat, o bujnej i siwej czuprynie, miłej powierzchowności i ciepłym głose, noszący się prosto, rzecz niezwykle ważna po tym jak Jego poprzednik nie był w stanie chodzić już od lat, jest *najlepszym* z możliwych następców Jana Pawła II. Był Jego prawą ręką i reprezentował *identyczne* jak On poglądy na rolę Kościoła



Rzymsko-Katolickiego we współczesnym świecie. Mianowany wcześniej dziekanem Kolegium Kardynalskiego, Ratzinger został wyznaczony *de facto* przez Jana Pawła II na Jego następcę.

Ratzinger, podobnie jak Wojtyła, należy do pokolenia, które w olbrzymim stopniu było ukształtowane przez II wojnę światową, co ma też olbrzymie znaczenie w dzisiejszym “groźnym świecie”. Jako młody Niemiec, nie mógł uniknąć ani przynależności do Hitlerjugend, ani służby w jednostce obrony przeciwlotniczej. Polacy, którzy na takich Niemców patrzą nieufnie, sądząc z pierwszych doniesień, przyjęli jednak bardzo pozytywnie Jego wybór na papieża. I bardzo słusznie! Tak jak Wojtyła, Ratzinger z pewnością wie lepiej co znaczy wojna i system totalitarny, niż ktokolwiek inny, kto nie doświadczył tego na własnej skórze.

Ale nowy papież stanie zapewne w obliczu dwóch trudnych do rozwiązania problemów.

Pierwszy to fakt, że Benedykt XVI, rozpoczynając swój pontyfikat w dość już sędziwym wieku, nie tak jak Jan Paweł II, który rozpoczynał go będąc o dwadzieścia lat młodszym, nie będzie *najprawdopodobniej* w stanie kierować Stolicą Apostolską zbyt długo.

Drugim jest panująca o Nim opinia. Podobnie bowiem jak Jan Paweł II, a może nawet jeszcze bardziej, Benedykt XVI uważany jest za *nieugiętego* konserwatystę, co zyskało mu miano „inkwizytora”.

No cóż, dopiero czas pokaże, czy Jego konserwatyzm będzie plusem czy minusem 265 pontyfikatu,

Jakkolwiek z tym wszystkim nie będzie, dobrze stało się jednak, że nowym papieżem jest Europejczyk. Europa przecież, Cesarstwo Rzymskie, jest kolebką Kościoła Rzymsko-Katolickiego. Wyrósł on, jak w ogóle chrześcijaństwo, na gruncie hellenizmu, dzięki czemu mógł wybić się na swoją wielkość. Dziś, co prawda, ilość katolików jest już największa w Ameryce Południowej, choć jeszcze przy obejmowaniu pontyfikatu przez Jana Pawła II prym pod tym względem wiodła Europa i źle byłoby, gdyby Kościół Rzymsko-Katolicki przeniósł *poza* nią swój punkt ciężkości. Ale czy Benedyktowi XVI, jako Europejczykowi, uda się wypełnić wiernymi kościoły na Starym Kontynencie, zwłaszcza w Europie Zachodniej, jest w tej chwili pytaniem bez odpowiedzi. Sądząc z pierwszych reakcji w Niemczech, gdzie katolicy, tak jak protestanci, stanowią równo po jednej trzeciej ludności, nie było tam żadnego entuzjazmu z

powodu wyboru ich Rodaka na papieża. Katolicy, co więcej, są w Europie mniejszością, stanowiąc ok. jednej czwartej jej chrześcijańskich wyznawców. Dominują w niej prawosławni i protestanci oraz ostatnio coraz liczniejsi muzułmanie. Ale nawet nie to jest najważniejsze, lecz nieustannie postępująca *laicyzacja* Europy, która wygląda na nieodwracalną

Nie są to jednakże wszystkie ogarniające mnie refleksje przy okazji wyboru nowego papieża, który tym razem był bardziej obserwowany przez świat, niż kiedykolwiek dotąd. O zmarłym Janie Pawle II, nawet nie katolicy i inni chrześcijanie, nie mogli nie słyszeć w czasie Jego długiego pontyfikatu. Wszystkie Jego pielgrzymki przykuwały zawsze uwagę środków masowego przekazu, zwłaszcza telewizji, a w USA szczególnie i to z różnych względów. I właśnie ten fakt “ucywilizował” papieństwo! Inaczej kto wie czym ono dziś byłoby. Weźmy dla przykładu 966 r., kiedy to Mieszko I chrzczył Polskę w obrządku łacińskim. Nie wiemy nawet, czy wiedział o tym, że dwa lata wcześniej, po 9-letnim pontyfikacie, zmarł papież Jan XII, zostając nim w wieku 18-tu, a może nawet 16-tu lat. A był to rozpustnik nie lada, w końcu zamordowany przez zazdrosnego męża Jego kochanki.

Gdyby o tym wiedział Mieszko I, to czy nie odeszłaby go chęć do szukania oparcia w papieństwie, przed dopiero co powstałym Cesarstwem Rzymskim Narodu Niemieckiego? Nic też nie wiemy co Mieszko I wiedział o krótkim pontyfikacie Leona VIII, następcy Jana XII, czy trwającym przez niecałe dwa lata kolejnym pontyfikacie, papieża Benedykta, o którym niewiele wiadomo. Nawet to, czy to za Jego pontyfikatu czy już Jana XIII, gdyż zmiana na Piotrowym tronie nastąpiła w 966 r., w roku chrztu Polski, którego dokładna data nie jest znana.

Dziś podobne znaki zapytania są nie do pomyślenia, gdyż świat wie już chyba wszystko o papieżach i ich codziennej działalności.

Paradoksalnie, porażka papieństwa w jego politycznym wydaniu, kiedy to w latach 756-1870 było ono również władzą Państwa Kościelnego, jednego z gorszych w dziejach, wyszła mu na dobre. Stolica Apostolska bowiem, od 1929 r. działająca na obszarze 0,6 kilometra kwadratowego, mini-państewko Watykan, mogła wreszcie skoncentrować się na problemach wiary i jej roli we współczesnym świecie, a nie na sprawach świeckich.

Ale *jak* to robić w praktyce? Papież, zwierzchnik Kościoła Rzymsko-Katolickiego, ze

względu na swoją widoczną rolę na arenie międzynarodowej, jak *żadna* inna głowa licznych w świecie wyznań, ma niezwykle trudne zadanie w codziennym spełnianiu swoich zadań.

Odziedziczony z przeszłości rozpad chrześcijaństwa, podzielonego dziś na setki wyznań, z trzema głównymi odłamami, katolicyzmem, prawosławiem i protestantyzmem, dalekimi od chęci powtórnego zjednoczenia się, zwłaszcza na papieskich warunkach, nie jest jedynym problemem dla Stolicy Apostolskiej. Innym i bardziej złożonym dla niej wyzwaniem jest wspomniany już nieustanny proces laicyzacji człowieka, rezultat trwającej rewolucji naukowo-technicznej.

Z formalnego punktu widzenia, Kościół Rzymsko-Katolicki, wyposażony w “nową broń”, jaką są postanowienia soboru z 1870 r. o “nieomyślności papieża w sprawach wiary i moralności”, powinien radzić sobie z tymi wyzwaniami *lepiej* od innych religii i chrześcijańskich wyznań. Papież bowiem, mając prawo formułowania religijnych dogmatów, ma potężny instrument w swoim ręku w *dostosowywaniu* Kościoła Rzymsko-Katolickiego do wyzwań epoki.

Niewątpliwie jednak problemem pozostaje fakt *jak* konkretnie papież ma wykorzystywać ten instrument z korzyścią dla pogłębiania wiary w coraz bardziej laicyzującym się świecie.

Papież Pius XII na przykład, formułując w 1950 r. Dogmat Wniebowzięcia, najprawdopodobniej *nie pomógł* pogłębieniu wiary. Według tego dogmatu bowiem, Matka Boska, po swojej śmierci albo „zaśnięciu” w pojęciu teologów, została decyzją Boga zabrana przez anioły z ciałem (które w międzyczasie stać się miało „ciałem chwalebny”) i duszą do nieba. Komu i do czego potrzebny był ten dogmat? Wniebowzięcie, jeszcze przed jego sformułowaniem, było już powszechnie przyjęte przez chrześcijaństwo i można było na tym poprzestać, a nie powracać do sprawy w połowie XX wieku i wystawiać ją na powątpiewanie! A propos, będąc z Niunią wiosną 1998 r. w Turcji, widzieliśmy w pobliżu dawnego greckiego miasta Efezu kościółek, zwany “Domem Marii”, który przed laty odwiedzili Paweł VI i Jan Paweł II. W miejscu tym, przybyła z palestyńskiej ziemi Matka Boska, miała dokonać żywota. Dziś miejsce kultu religijnego, w ulotkach dla turystów *nie przypomina* jednakże o Wniebowzięciu. Dlaczego? Czyżby Kościół wolał nie przypominać dogmatu i tym samym uniknąć powątpiewających komentarzy na jego temat?

Czemu w takim razie miał służyć taki dogmat?

A skoro już mowa o tym dogmacie, to nie można nie mieć refleksji na temat tzw. wiary objawionej, reprezentowanej przez judaizm, chrześcijaństwo i islam. Pomijając islam, zlepek judaizmu i chrześcijaństwa, od strony doktrynalnej względnie też mało rozwinięty, „wiara objawiona” Starego i Nowego Testamentu należy niewątpliwie do niezwykłych zjawisk w dziejach ludzkich.

Co się tyczy Starego Testamentu, korzeniami sięgającego wierzeń sumeryjskich, wiekami następnie pisanego przez anonimowych skrybów hebrajsko-izraelskich, w dodatku setki lat po jakoby zaszłych wydarzeniach, to uderza w nim nie tak fabularny, jak *polityczny* jego charakter. Oto Bóg uznaje Żydów za „naród wybrany”, wśród wielu innych narodów, zawiera z nim Przymierze, a w zamian za to nagradza go „ziemią obiecaną”. Bóg, Jahwe, jest początkowo zastrzeżony *wyłącznie* dla Żydów. Z nimi też tylko komunikuje się *bezpośrednio* poprzez Abrahama, Mojżesza i Jozuego, aż do momentu dotarcia Żydów, drogą podboju, do „ziemi obiecanej”.

Co więcej, Dziesięć Przykazań, spisanych na dwóch kamiennych tablicach i wręczonych Mojżeszowi przez Boga, miało zdobić *jedynie* żydowską świątynię w Jerozolimie. Stąd też można wątpić, czy przypisywane judaizmowi głęboko humanitarne wątki nie miały aby *rasistowskiej* wymowy. Tym niemniej, w *politycznym* sensie, a nie moralnym i ogólnoludzkim, żydowska „wiara objawiona” jest racjonalna, pomimo swojej baśniowej osnowy.

Inaczej jest natomiast z Nowym Testamentem, podstawą chrześcijaństwa, choć nie wyłączną, gdyż jego 27 ksiąg, wraz z 46 księgami Starego Testamentu, stanowi dopiero Pismo Święte. Nie tak jednak jak w Starym Testamencie, Bóg nie tylko nie objawia się *bezpośrednio* twórcom Nowego Testamentu, ale także jego teksty, cztery Ewangelie Święte, Listy św. Pawła, Apokalipsa św. Jana i Dzieje Apostolskie, nie są również rezultatem Jego *bezpośredniej* interwencji. Jezus z Nazaretu, na soborze nicejskim w 325 r. uznany za Syna Bożego, sam nie wniósł *żadnego* bezpośredniego wkładu do napisania tekstu Nowego Testamentu. Jezus z Nazaretu zresztą, uznany początkowo przez niektórych Żydów za Mesjasza, Chrystusa w języku greckim, którego nadejście było zapowiedziane w Starym Testamencie, miał spełnić wojskowo-polityczną misję, być zwycięskim przywódcą w walce o wyzwolenie Izraela spod obcej

przemocy, a *nie* być „zbawicielem ludzkości”.

Na tym nie koniec. Centralnymi postaciami w Starym Testamencie są Abraham i Mojżesz, żyjący jakoby 1.700-1.300 lat przed nową erą (czego historia nie potwierdza).

Centralną postacią Nowego Testamentu jest natomiast Chrystus, który, zakładając Jego historyczność, pretendował do zbudowania na Ziemi „Bożego Królestwa”, nie tak jak Abraham z Mojżeszem, którzy jedynie wytargowywali u Boga „ziemię obiecaną” dla Żydów. Nie tak też jak Chrystus, po śmierci nie zmartwychwstawali i nie mianowali się „Synami Bożymi”, ani też nikt inny ich nimi nie mianował. Z Chrystusem było inaczej. Po swojej męczeńskiej śmierci i zmartwychwstaniu - powtarzając za Nowym Testamentem - z czasem uznano Go za „Syna Bożego”, a w konsekwencji tego stał się Bogiem, po tym jak wraz z „Bogiem-Ojcem” i „Duchem Świętym” stworzyli Trójcę Świętą, „Jednego Boga, ale w Trzech Osobach”, wydarzenie *nie zapowiedziane* w Starym Testamencie. Nie byłoby z tym większego problemu, gdyby tak doniosłe wydarzenie było widomym wynikiem *bezpośredniej* interwencji Boga, ale tak nie było. Była w zamian za to „ludzka interwencja”, w postaci zwołanych soborów, najpierw nicejskiego w 325 r., z inicjatywy i pod bezpośrednim nadzorem *pogańskiego* cesarza Konstantyna Wielkiego, a następnie soboru konstantynopolskiego w 381 r. Oba sobory, zgromadzenie przedstawicieli rodzącego się chrześcijaństwa, nie tylko potwierdziły głoszoną od dawna boskość Chrystusa, jako „Syna Bożego”, ale także istnienie Ducha Świętego, co z kolei doprowadziło do powołania do życia Trójcy Świętej, zastępującej *de facto* chrześcijanom Jahwe, żydowskiego Boga, „uniwersalnym Bogiem”.

Skutek praktyczny tych decyzji był zaś taki, że judaizm, religia Starego Testamentu, nie stał się *nigdy* „religią misyjną”, ograniczając się jedynie do kręgu Żydów. Chrześcijaństwo natomiast, w olbrzymim stopniu „zuniwersalizowany i zrewidowany” judaizm, otworzyło się szeroko na „gojów”, nie-Żydów, którzy zasilili *masowo* jego szeregi.

Triumfalny marsz chrześcijaństwa przez wieki ma jednak swoją cenę, jeśli nadal ma ono pozostać „misyjną religią”, a więc trafiać do wyznawców innych religii i niewierzących. Cena wynika stąd, że bijąc na głowę judaizm i wszystkie inne religie opowieściami Nowego Testamentu, prezentowanymi jako „prawdy absolutne”, jak na przykład Zwiastowanie,

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział I (kwiecień 2005 r.)

Niepokalone Poczęcie, Ukrzyżowanie Chrystusa dla Odkupienia Ludzkości, a wreszcie Zmartwychwstanie, nie mówiąc już o rozbudowanej „wiedzy” na temat życia pozagrobowego, zapożyczonych w znacznym stopniu od pogańskich filozofów starożytnej Grecji, chrześcijaństwo *za daleko* przekroczyło pewne dopuszczalne granice. Kiedyś mogło ono długo egzystować na tych „absolutnych prawdach”, ale dziś, w epoce postępu nauki oraz powszechnej laicyzacji człowieka, natarczywe ich przypominanie, a co gorsza egzekwowanie, może mieć *odwrotny* od zamierzonego skutek.

Co wobec tego chrześcijaństwo, zwłaszcza jego największy odłam, Kościół Rzymsko-Katolicki, powinny robić w tej sytuacji?

Na to pytanie *nie ma* prostej odpowiedzi.

W starożytności i średniowieczu, burzliwy postęp chrześcijaństwa był możliwy dlatego, że przede wszystkim miało ono bardzo silny *społeczno-polityczny* kontekst. Utożsamiając się z *uciskanym* ludem, z Chrystusem walczącym o szczęście uciskanych, jeśli już nie ziemskie to niebiańskie, umierającym za lud, następnie zmartwychwstającym i wstępującym do niebios, gdzie panuje nieśmiertelność i wieczna szczęśliwość - chrześcijaństwo *przemawiało* do wyobraźni uciskanego i gnębnego niedostatkami „ziemskiego życia” człowieka. Opuszczenie „padołu płaczu”, nawet w wyniku męczeńskiej śmierci, byle tylko trafić do „raju wiecznej szczęśliwości”, było warte ryzyka. Odwaga, z jaką pierwsi chrześcijanie szli na śmierć za swoją wiarę, ledwie o niej coś niecoś wiedząc, doprowadziła do *triumfu* tej nowej wiary. Raz zapuszczając swoje korzenie w lud, resztę mogła pozostawić tworzącej się odtąd tradycji.

Dziś sprawy mają się inaczej. Człowiek współczesny, poza nielicznymi wyjątkami, najczęściej niechrześcijańskiego wyznania, życia w obronie wiary już nie ryzykuje (nie mając zresztą takiej potrzeby) i do „wiekuistej szczęśliwości” nie dąży, jeśli nawet w nią wierzy.

Chrześcijaństwo ponadto, Kościół Rzymsko-Katolicki w pierwszym rzędzie, nie przypomina już *w niczym* czasów swoich narodzin. Nie ma już żadnych „charyzmatyków”, którzy z narażeniem życia głosili nową wiarę, nie ma też chętnych do wysłuchiwania ich nawoływań, a wreszcie, jak wszystko inne na świecie, tak i wierzenia znalazły się w *głębokim* kryzysie. Trwając setkami i tysiącami lat *nie mogły* nie ulec skostnieniu i zwyrodnieniu. Nade

wszystko zaś *nie są* w stanie stawić czoła nauce.

W konkretnym przypadku chrześcijaństwa, a przede wszystkim Kościoła Rzymsko-Katolickiego, triumf jego, nawet jeśli na oko imponujący, jest raczej dość wątpliwy. Jego wytężona praca misyjna, jak na dwa tysiące lat, ledwie zaowocowała nawróceniem tylko 1/3 ludzkości. A jeśli jeszcze zważyć, że w międzyczasie chrześcijaństwo uległo głębokim podziałom, to bliższe prawdy jest twierdzenie, że poniosło ono klęskę.

A czy czeka go wznowienie triumfalnego marszu, jak to było w przeszłości?

Osobiście mocno w to wątpię. Przede wszystkim, dawny marsz triumfalny chrześcijaństwa, od kiedy stało się ono religią panujących, nie zawsze był osiąganym pokojowymi środkami. Ameryka Południowa, Filipiny, część Afryki i część dzisiejszego Libanu, nie byłyby najprawdopodobniej dziś chrześcijańskimi, gdyby przedtem nie były podbite przez chrześcijańskich, głównie katolickich najeźdźców. Nie bez znaczenia był też fakt, że niski stopień ucywilizowania tubylców ułatwiał ich nawracanie.

Dzisiaj sytuacja jest inna. Chrześcijaństwu brakuje nie tylko charyzmatycznych misjonarzy, ale nawet proboszczów dla podtrzymywania wiary w parafiach.

I *co* na to wszystko może poradzić taki czy inny papież? Czyżby mnożeniem dogmatów, zwiększaniem ilości świętych, zwalczaniem planowania rodziny czy zalewem nowych nakazów i zakazów, kolidujących z wyzwaniem współczesności?

Jakimś wyjściem z tej sytuacji, byłoby zwrócenie większej uwagi przez chrześcijaństwo, głównie Kościół Rzymsko-Katolicki, na coraz bardziej komplikującą się w świecie sytuację polityczną, społeczno-ekonomiczną i ochronę środowiska naturalnego. Tak nawet, z inicjatywy oddolnej, zaczęło się dziać w Ameryce Południowej, gdzie „Teologia Wyzwolenia” zaczęła zdobywać sobie popularność, ale Jan Paweł II, przy walnej pomocy kardynała Ratzingera, dziś już nowego papieża, położyli jej kres. Mieli dużo w tym racji, gdyż Kościół nie powinien zamieniać się w organizację polityczno-społeczną, ale przesadzili z tym i dziś korzystają z tego - jak to już wspominałem - misjonarze protestancy.

Interesujące więc będzie *jak* Benedykt XVI stawi czoła piętrzącym się wyzwaniom. W przeszłości, miał opinię „postępowego”, później „konserwatysty”, a *jakim* będzie teraz? I czy

zdąży coś zmienić, jeśli w ogóle zechce cokolwiek zmieniać?

Na zakończenie chciałbym podzielić się jeszcze dwoma innymi refleksjami.

Pierwsza dotyczy wyższej hierarchii kościelnej, składającej się z ponad 4,6 tys. biskupów, z ponad 170 kardynałów, no i oczywiście papieża, na której trzyma się Kościół Rzymsko-Katolicki. Są to ludzie wykształceni, niektórzy noszą profesorskie tytuły, znają świat i w ogóle stoją na wysokim poziomie intelektualnym.

Czyż nie mają oni *żadnych* wątpliwości, głosząc “prawdy absolutne”? Nie docierają do nich różne odkrycia naukowe, od których w głowie się kręci i które podkopują religijne dogmaty? A może myślą co innego i cynicznie głoszą co innego?

Druga refleksja stoi jakby w sprzeczności z pierwszą, ale muszę i z nią podzielić się.

Na świat można patrzeć pod różnymi kątami widzenia. Stąd można go postrzegać jako gigantyczne widowisko, z różnymi aktorami na jego scenie. Na ogół są nimi przywódcy wielkich mocarstw i ludzie z najbliższego im grona. Dziś są nimi także papieże, a Jan Paweł II pobił pod tym względem wszystkie rekordy widoczności, jakie *kiedykolwiek* zebrała Stolica Apostolska. A ponieważ instytucja papieża we współczesnym świecie jest *jedyną* tego rodzaju, więc ma ważną rolę do spełnienia.

O papieżach mogę różnie myśleć i daleko nie wszystko co mówią uważać za godne uwagi, ale naprawdę *wolę* ich od Bushów, Putinów, Blairów, Chiraców, Koizumich, Berlusconi czy Wałęsów i Kwaśniewskich. Na niektórych z tych typów, zwłaszcza pierwszego i dwóch ostatnich, nie mogę już patrzeć, a jeszcze mniej ich słuchać!

Na papieży zaś *mogę* i to nawet wtedy, kiedy opowiadają rzeczy, które mnie wręcz śmieszą. Ale wiem przecież, że ich słowa *nikomu* krzywdy nie zrobią, czego o wspomnianych i niewspomnianych mężach stanu i politykach nie mógłbym powiedzieć.

A żegnające w Rzymie zmarłego Jana Pawła II tłumy, jakby właśnie podzielały mój powyższy pogląd.

Ludzie bowiem chcą zobaczyć i usłyszeć coś *innego* od tego, co widzą i słyszą na co dzień od swoich i obcych przywódców.

Instytucja papieża jest więc *konieczna* w świecie.



Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział I (kwiecień 2005 r.)

I od papieży głównie zależy *jaką* ona będzie.